

GRUDZIEŃ 2017

NARODOWE CENTRUM POLSKIEJ PIOSENKI
MAGAZYN BEZPŁATNY / ISSN 2299-6273

#15

MiC

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

Podsumowanie 2017 / Tom Waits / Pocztówka Retro
Chris Cornell / Szafa Grająca: PJ Harvey





Łączymy koncertowo

spis treści

MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY #15

Narodowego Centrum Polskiej Piosenki



Wstępniak ... <i>str. 4</i>	●
	○
Shorty ... <i>str. 6</i> Newsy, plotki, ploteczki	
	●
Pocztówka Retro ... <i>str. 8</i> Wspomnienie o Sharon Jones i Charlesie Bradleyu	
	○
Chris Cornell ... <i>str. 10</i> Taniec ze śmiercią	
	●
Galeria ... <i>str. 12</i>	
	○
Podsumowanie muzyczne roku ... <i>str. 14</i>	
	●
Historia Jednej Piosenki ... <i>str. 24</i> Kolędowanie z Tomem Waitsem	
	○
Szafa Grająca ... <i>str. 25</i> PJ Harvey - The Ministry of Defence	

MIC w formacie PDF do pobrania również na naszej
stronie internetowej www.ncpp.opole.pl

// Wstępniak

Głównym tematem piętnastego MIC-a jest podsumowanie muzyczne roku. Przygotowaliśmy dla Was zestaw płyt, który można nazwać subiektywnym spojrzeniem na to, co w mijającym roku warte go posłuchania ukazało się na świecie. Korzystając z przywilejów osoby piszącej wstępniak, chciałbym w tym miejscu zwrócić Waszą uwagę na kilka albumów, które w zestawieniu się nie znalazły albo o których szerzej napisać nie mogłem. Ale po kolei.

Po pierwsze w zestawieniu zabrakło zespołu Bitamina, ale powodem nie był niewystarczający poziom, wręcz przeciwnie, lecz fakt, że bardzo pochlebna recenzja albumu „Kawalerka” ukazała się w poprzednim MIC-u. A jeśli o czymś już pisaliśmy, to automatycznie z zestawienia na koniec roku wypada. Niemniej warto podkreślić, że dawno tak oryginalnego, pomysłowego i ożywczego zespołu na naszej scenie muzycznej nie było i chyba nie będzie przesadą jeśli napiszę, że Bitamina mogłaby się znaleźć w zestawieniu każdego z piszących.

Druga kwestia: płyty nawiązujące swoją stylistyką do międzywojnia. Tak się składa, że w czasach wzmożenia patriotycznego, które niekiedy przybiera karykaturalne lub wręcz smutne oblicze, Jazz Band Masecki/Młynarski oraz Hańba! to przykłady wyjątkowe z kilku względów. Pierwszy z nich, dość banalny, brzmi mniej więcej tak, że patriotyzm może mieć niejedno imię. Kolejnym jest oparcie swojego pomysłu na przeszłości i stylizacji, bez galopowania na Kasztance z naprędcie zapuszczanym wąsem Marszałka i strojeniem

się w rogatywkę. „Noc w wielkim mieście” Jazz Bandu Masecki/Młynarski to przykład pokazujący, jak w sposób lekki, zabawny, lecz niepozbawiony szacunku, kunsztu i staranności można nawiązać do tradycji. Co ważne, jest to nawiązanie nieobarczone sztafpe czy cepelią, które nie ma w sobie nic a nic z pompatyczności. W zamian za to otrzymujemy muzykę, która pokazuje, jak wyglądała część polskiej kultury rozrywkowej oraz co niestety bezpowrotnie utraciliśmy.



Latalecy Cyrk Monty Pythona / Fot. AP

Z kolei „Będą bić!” grupy Hańba! to album, któremu – jeśli jesteśmy już przy marszałkowych metaforach – zdecydowanie bliżej do spojrzenia à la Bereza Kartuska niż bałwochwalczego opiewania sanacji i piękna portu w Gdyni. Gorąco polecam obie płyty Hańby, która pod przykrywką udowadniania, że punk rock i pieśni buntu nie powstały na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w Wielkiej Brytanii, lecz przed wojną w podwórkach kamienic na krakowskim Kazimierzu, uświadamia, jak również wyglądały czasy minione. Panowie na warsztat wzięli m.in. Broniewskiego oraz Tuwima i Brzechwę, jakich nie znacie, którzy w połączeniu z „podwórkowym instrumentarium” wprost porażają. Ciekawe, czy zdążą z kolejną płytą przed wojną, bo według ich datowania, mamy obecnie rok 1937. To tylko trzy zespoły, o których chciałem wspomnieć, więcej propozycji znajdziecie na dalszych stronach, ale dlaczego właściwie o tym mówię? Tak naprawdę jest jeszcze jeden powód. Śmiem twierdzić, że każda z wymienionych wyżej grup (a jest ich znacznie więcej) świetnie sprawdziłaby się jako tzw. ambasador polskiej kultury na Zachodzie (lub Wschodzie, czemu

nie?). W Bitaminie bardzo ważną rolę odgrywają teksty – owszem – a te dla takiego Niemca, Anglika czy Francuza będą zupełnie niezrozumiałe. Wsiadając w rogatywce na Kasztanekę, mógłbym coś tam wykrzyknąć z za wąsa, że Polacy nie gęsi, niech inni się w końcu nauczą polskiego, poza tym Francuzi to w żadnym innym języku nie mówią, że o tym, kto kogo widelcem, nie wspomnę.

Warto sobie jednak uzmysłwić, że taka Islandia, kraj, który liczy nieco ponad 336 tysięcy mieszkańców, produkuje mnóstwo znakomitych artystów śpiewających w swoim języku, po których albumy ustawiają się kolejki. Rzecz bowiem jest w muzykalności, świeżości, autentyczności, inności i – wreszcie – tajemniczości. Wszystko to razem powoduje, że np. muzycy z Sigur Rós mogą łomotać w jakimś tylko języku sobie zachcą, a na ich koncerty i tak wałą tłumy. Zresztą przykład Hańby to tylko potwierdza. To oczywiście nie ten poziom popularności, ale panowie z takim samym powodzeniem jeżdżą po kraju, jak i po innych częściach świata, co jest o tyle zaskakujące, że ich teksty, autorstwa wspomnianych wcześniej międzywojennych poetów, wydają się kluczowe dla rozumienia całości. Wydawałoby się, że ktoś, kto nie zna naszej historii oraz nie rozumie, o czym muzycy śpiewają, nie jest w stanie zainteresować się twórczością zespołu. Szczęśliwie jakaś osoba w Instytucie Adama Mickiewicza zdołała dopiąć swego i znalazła dla zespołu pieniądze, które ułatwiły grupie „podróże w dalekie kraje”. Jest to przykład krzepiący, ale niestety nie tylko z takimi mamy do czynienia. Jakiś czas temu przez krótką chwilę głośna była sprawa zespołu o nazwie Contra Mundum, który dzięki mecenasowi Ministerstwa Spraw Zagranicznych wybrał się w trasę koncertową po Wielkiej Brytanii, stając się jednocześnie tzw. ambasadorem polskiej kultury. Na nic zdał się ministerialny „mimunitet”, efekt był bowiem taki, że mimo hucznych zapowiedzi koncerty odwołano, a zespół – bohatersko nawiązujący w swej twórczości do oręża – wrócił z podboju Wysp raczej na tarczy niżeli z tarczą. Palicho, że muzyka Contra Mundum to tandetna i pompatyczna cepelia o zabarwieniu quasi-patriotycznym, jest wiele lepszych, ale też wiele gorszych zespołów – niech będzie – ale temu, kto wpadł na pomysł, że przy pomocy Contra Mundum zawojujemy muzyczne imperium, jakim jest Wielka Brytania, należą się oklaski i słowa uznania. Podobno twórcy Monty Pythona nie mogą wyjść z podziwu.

Marek Szubryt

KONCERT

EABS

ELECTRO-ACOUSTIC BEAT SESSIONS

REPETITIONS

(LETTERS TO KRZYSZTOF KOMEDA)

02/03/2018
SALA KAMERALNA NCPP



// Shorty

Newsy, plotki, ploteczki



Zacne wznowienie

Po 10 latach od oficjalnej premiery do sklepów powróci album Buriala „Untrue”. Piszemy o tym dlatego, że album Brytyjczyka był kamieniem milowym nie tylko dla samego dubstepu, ale całej sceny muzyki elektronicznej. Toteż kto jeszcze nie zna, niech to nadrobi, a kto jeszcze nie ma, niech zakupi.

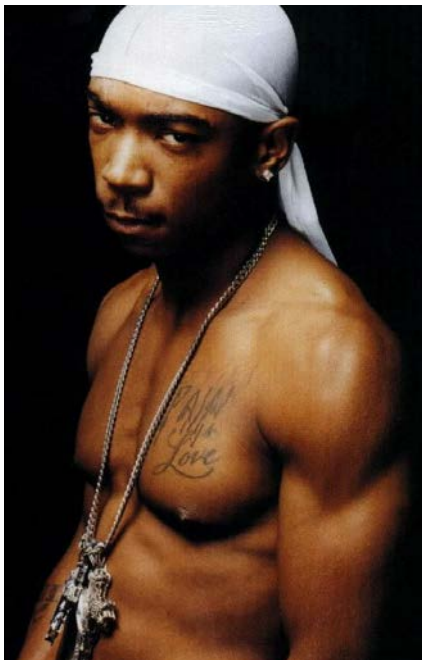
Rafał Czarnecki



Ludzie renesansu

Nasi piłkarze to, jak się okazuje, ludzie wielu talentów. Kamil Grosicki skutecznie wypromował piosenkę o oczach, przez które dostaje się obłąkania miłosnego. W tym wypadku możemy mówić o przypadku, ale dwa następne wydarzenia są już jak najbardziej działaniami zamierzonymi. Otóż Wojciech Szczęsny popełnił tekst na płytę swej małżonki, Mariny, a Robert Lewandowski wraz z Donatanem ma wyprodukować cały album. Rozumiemy potrzebę spełniania się na innych polach niż tylko sportowe, ale czy te ruchy będzie dało się obronić? No i czy okażą się strzałami w dziesiątkę czy może pudłem?

Rafał Czarnecki



Ja Rule wie, jak spotkać Banksy'ego

Dekonspiracja jednego z największych twórców street artu to tylko kwestia czasu, odkąd do akcji wkroczył Ja Rule. Gwiazda rapu przełomu wieków postanowiła wykorzystać swoją sławę i niepodważalny autorytet, aby poprzez Tweetera przedstawić światu swój apel: „Jeśli ktokolwiek zna Banksy'ego, powiedzcie mu, że go szukam”. Kooperacja muzyczno-malarska musi stać się faktem, wszak niemożliwe jest, aby artysta przepuścił okazję do poznania prawdziwego gangsta rapera. Połączy ich zapewne miłość do wydawania pieniędzy: Ja Rule kupuje samochody, a Banksy wpłaca kolejne setki tysięcy dolarów ze sprzedaży swoich prac na konta organizacji charytatywnych. Money, money, money...

Michał Mościcki



Słabsze dni Billy'ego Williama Patricka Corgana

Z Billym Corganem (The Smashing Pumpkins) nie jest najlepiej. Najpierw rozkręcił aferę i zażądał, aby nie nazywać go już Billym, bo tak nazywali go koledzy z zespołu, a on nie czuje się już tą samą osobą – odtąd będzie Williamem Patrickiem Corganem i pod takim nazwiskiem wydał swój ostatni album. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że po jakimś czasie uznał, że w sumie z Billym było wszystko OK i przemianował utwory dostępne w sieci na nowo. Jakby tego było mało, w jednym z wywiadów wziął w obronę zespół Nickelback, a Chada Kroegera nazwał „wybitnym songwriterm”. Zamieszanie z imionami można jeszcze zrozumieć, ale Nickelback... serio?

Michał Mościcki

KONCERT

bitamina



16
03
18

SALA KAMERALNA NCPP

// Poczłtówka Retro

czyli wspomnienie o Sharon Jones i Charlesie Bradleyu

foto: Jesse Oltman / New York Magazine



Mam pewien problem, aby napisać o ich karierze jak o spełnionym *american dream*. Bo z jednej strony, mimo wielu przeciwnstw, ich talent został doceniony, z drugiej jednak cały czas mam nieodparte wrażenie, że choroba zabrała ich zbyt wcześnie (Sharon miała 60, a Charles 68 lat), nie pozwalając w pełni nacieszyć się z osiągniętych sukcesów. Zdecydujcie sami. Drogie Panie i Szanowni Panowie, poznajcie krótką historię Miss Sharon Jones i Mr Charlesa Bradleya.

Trudne początki

Zanim wrota kariery postanowiły na dobre otworzyć przed nimi swe podwoje, musieli sporo przeżyć, przejść i przecierpieć. Sharon pochodziła z Georgii i po rozwodzie rodziców wraz z matką przenieśli się do Nowego Jorku. Pochodzącego z Florydy Charlesa wychowywała babcia, a gdy matka ponownie pojawiła się w jego życiu, to właśnie Nowy Jork stał się jego domem. Obydwójce mieli się różnych zajęć: Sharon w swoim CV może pochwalić się pracą w charakterze strażniczki więziennej, Charles był pakowaczem albo kucharzem, ale ich największą miłością i pasją była oczywiście muzyka. To się nie zmieniało przez całe życie, choć początki były trudne. Sharon Jones występowała na weselach, a gdy pewnego razu przysłała na przesłuchanie organizowane przez firmę Sony, usłyszała, że jest zbyt czarna, za niska, za stara, no i najlepiej, żeby zrzuciła parę kilo. Charles Bradley w najróżniejszych knajpach występował jako sobowtór Jamesa Browna, którego to miał nawet okazję zobaczyć na żywo w słynnym Apollo Theater w Harlemie. I który, rzecz jasna, był jego absolutnym idolem.

Każdy swego odkrywcę mieć musi

W każdej tego typu historii musi pojawić się jakiś niesamowity zbieg okoliczności lub osoba, która uwierzy w naszego głównego bohatera. W tym przypadku mamy dwa w jednym. Funkcję tę w całej opowieści pełni będzie Gabriel Roth, także basista i producent, założyciel studia nagrań i niezależnej wytwórni płytowej Daptone, która specjalizuje się w muzyce soul i R&B w wersji retro, jakby była wydana przez legendarne Motown Records. Żaden tam neo-soul i komputery, tylko stara szkoła. Ów Gabriel Roth wynalazł Sharon Jones dla swego zespołu The Dap-Kings, którego Sharon została główną wokalistką. Z kolei Charlesa Bradleya poznał, gdy ten przyszedł do studia bynajmniej nie w celach muzycznych, ale po to, by wykonać prace hydrauliczne. Jego z kolei Roth prędko zakolegował z zespołem Menahan Street Band. Warto wspomnieć, że zespoły, z którymi nagrywali nasi bohaterowie, to bardzo ważny element układanki ich sukcesu, gdyż grupy te brzmią stylowo, posiadają świetną sekcję dętą oraz mają odpowiedni, jakby z innej epoki, *groove*. Do tego pokutuje zdanie, że aby uzyskać odpowiednie brzmienie, przynajmniej sekcja dęta powinna składać się z czarnoskórych muzyków, jednak w obu przypadkach muzycy byli biali. Zresztą The Dap-Kings jest właśnie tym zespołem, który



Fot. Shayan Asgharia / Remedial Media LLC

słyszycie na słynnym „Back to Black” Amy Winehouse, od którego daty wydania możemy mówić o swoistej retromanii, która z całą pewnością przyczyniła się do sukcesu Sharon i Charlesa.

Czas spełnienia

Określanie ich kariery w kategoriach sukcesu wydaje się jak najbardziej uprawnione. Wydawane albumy uzyskiwały znakomite recenzje, regularnie pojawiając się w zestawieniach najlepszych płyt mijającego roku najróżniejszych redakcji na całym świecie. O każdym z artystów powstał film dokumentalny (*Miss Sharon Jones* oraz *Charles Bradley: Soul of America*). Ale nie tylko albumy, lecz również koncerty wydają się w ich przypadku ogromnym atutem. Trzeba dodać, że koncerty pełne pasji i zaangażowania. Wiem, co mówię: miałem okazję zobaczyć Charlesa Bradleya na festiwalu Colours of Ostrava i określenie „muzyczna perełka” nie będzie przesadą. Zespół perfekcyjnie odgrywający kolejne nuty, Bradley brzmiący tak świetnie jak na płytach. Byłbym jednak nieszczerzy, gdybym nie wspomniał o pewnym przerysowaniu, którym był jego sceniczny wizerunek polegający na zmianie przyciasnych strojów oraz przesadna emocjonalność. Powiedzmy, że lata odgrywania na scenie Jamesa Browna zrobiły swoje. Ale nie zrozumcie mnie źle, gdyż – mimo wszystko – był w tym wszystkim bardzo autentyczny i naturalny. Obojga artystów niestety nie ma już wśród nas, jednak płyty Sharon Jones i Charlesa Bradleya zostaną z nami na zawsze. Przy tej okazji namawiam Was do posłuchania, nawet jeśli soul, R&B czy funk nie są waszymi ulubionymi gatunkami. Ze swej strony mogę zagwarantować, że nie będzie to przygoda jednorazowa.

Rafał Czarnecki

// Chris Cornell

czyli taniec ze śmiercią



Teza zasugerowana w tytule tego artykułu może się wydawać kontrowersyjna. Bo przecież genialny wokalista nie prowadził wybitnie straceńczego trybu życia, a jego przygody z używkami raczej mieściły się w rockowej normie. Stany depresyjne również nie przekraczały charakterystycznej dla tej profesji – czy ludzkości w ogóle – średniej.

A jednak jest coś na rzeczy w twierdzeniu, że śmierć pociągała Chrisa Cornella, a wręcz napędzała go twórczo. Szczególnie dotyczy to takiej śmierci, która przytrafia się rockmanom i czyni z nich legendy, a więc śmierci w wydaniu *stardom*. Świadczy o tym kilka konkretnych projektów artystycznych – o nich poniżej – które Cornell realizował poza swoimi macierzystymi zespołami (Soundgarden, Audioslave i znów Soundgarden). Być może wcześniej ten wzór nie był dostatecznie wyraźny, jednak teraz – po wstrząsającej wiadomości o śmierci artysty – perspektywa ta musi ulec zmianie. Bo oto zaskakując właściwie wszystkich, późnym wieczorem 17 maja 2017 roku Cornell dał się w końcu śmierci uwieść: otworzył dla niej ramiona i przyjął jej pocałunek.

Pierwszym przypadkiem zbieżności drogi artystycznej Cornella z doświadczeniem śmierci jest oczywiście album stworzonej na poczekaniu supergrupy (choć wtedy jeszcze po prostu grupy) Temple of the Dog. Wydana w kwietniu 1991 roku płyta zatytułowana „Temple of the Dog” pomyślana została przez Cornella jako hołd dla zmarłego ponad rok wcześniej Andy’ego Wooda, równie genialnego wokalisty, frontmana grupy Mother Love Bone. Wood, prywatnie przyjaciel Cornella, otwiera listę tragicznie i przedwcześnie zmarłych legend muzycznej sceny Seattle (pochodzący z tego samego miasta Jimi Hendrix to jednak przypadek osobny). Wokalista ten sławą nigdy nie dorównał innym – żywym i nie – symbolem tej sceny: zmarł przed jej komercyjną erupcją. Z drugiej strony, to przecież na gruzach Mother Love Bone – a więc z powodu jego śmierci – narodził się zespół Pearl Jam. Muzycy tego zespołu też uczestniczyli w tym swoistym epitafium stworzonym przez Cornella. W utworze *Say Hello 2 Heaven*, który powstał jako pierwszy i w najbardziej bezpośredni sposób dotyczy śmierci przyjaciela, Cornell przejmująco śpiewa: *Nie tak to sobie planowałem / żeby spisywać na kartce papieru słowa do ciebie / i te rzeczy których już nigdy nie zrobimy wspólnie / pora zdmuchnąć świecę.*

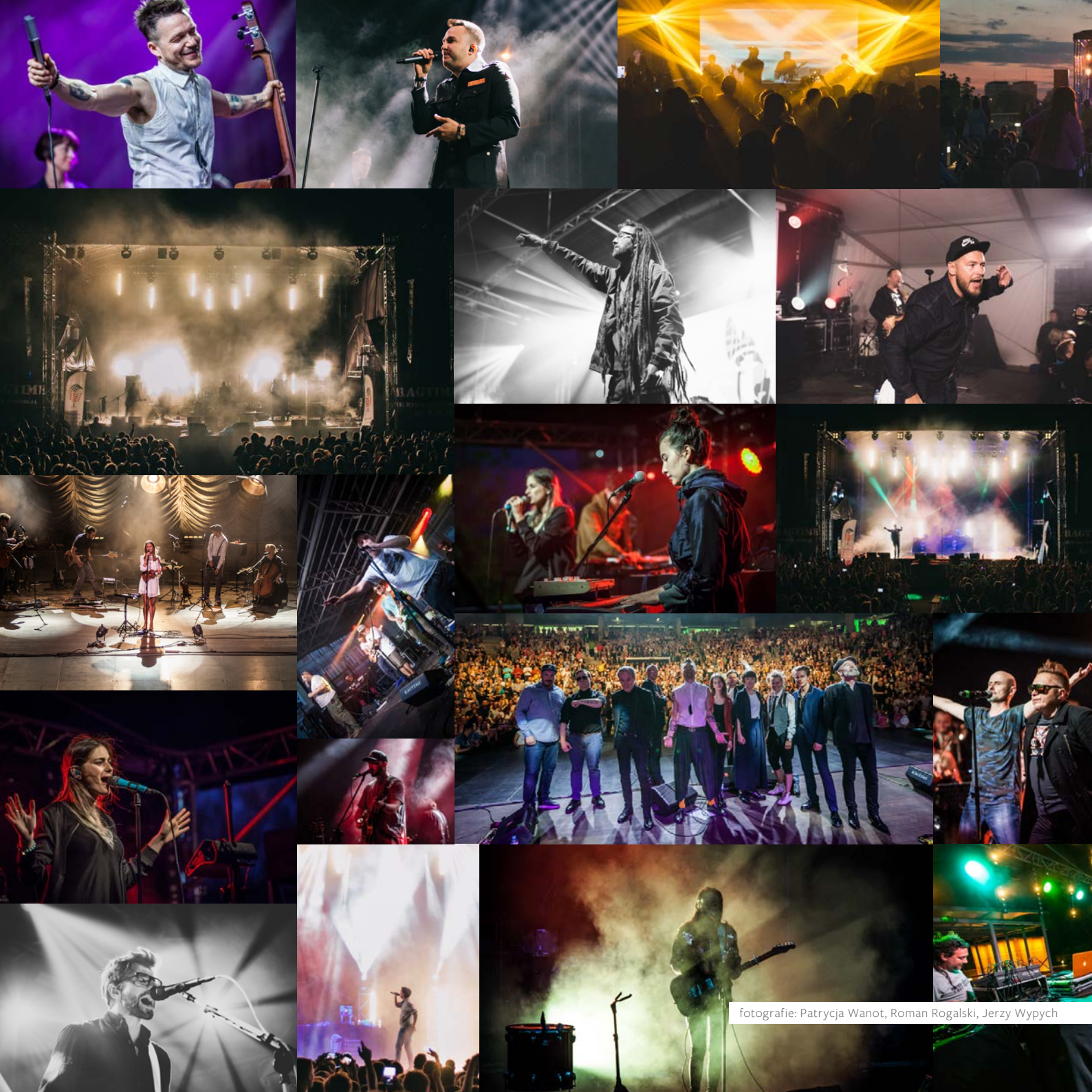
Zależności sceny z miasta położonego nad zatoką Puget Sound i tragicznych śmierci jeszcze raz przyciągnęły do siebie Cornella na początku roku 2015. Wtedy to swój koncert zagrała reaktywowana na tę okazję inna jednorazowa supergrupa z tych okolic, Mad Season. Kiedy w 1994 roku zespół ten wydawał swoją jedyną płytę („Above”), głównym wokalistą był Layne Staley, kojarzony przede wszystkim z Alice in Chains. Jak wiadomo, Staley także zmarł tragicznie i przedwcześnie, w 2002 roku. Stąd koncert reaktywowanej grupy również zyskał cechy pieśni dla przyjaciela. Podczas tego

wydarzenia to właśnie Cornell wystąpił w roli głównego wokalisty, co możemy usłyszeć na płycie „Sonic Evolution / January 30, 2015 / Benaroya Hall”. Co ciekawe, w ostatnich miesiącach pojawiały się pogłoski o możliwości kontynuacji działalności studyjnej zarówno przez Mad Season, jak i Temple of the Dog (ten zespół ruszył w krótką trasę koncertową latem 2016 roku). Po śmierci Cornella obie te możliwości wydają się niewykonalne.

Mam wrażenie, że gros słuchaczy postrzega Cornella jako wokalistę albo Soundgarden, albo Audioslave. Z jego solową twórczością jest pewien problem, bo o ile wiadomo o skomponowanym do bondowskiego *Casino Royale* utworze *You Know my Name* (2006) i artystycznym blamażu w postaci trzeciej płyty długogrającej „Scream” (2009), to wciąż relatywnie mało znany pozostaje debiutancki album Cornella zatytułowany „Euphoria Mo(u)rning” z 1999 roku. Płyta ta – absolutnie zjawiskowa, jeśli popatrzymy na cały solowy katalog artysty – jest jego kolejną emocjonalną wypowiedzią na tematy eschatologiczne. Album związany jest z osobą Jeffa Buckleya, genialnego wokalisty i gitarzysty, który dwa lata wcześniej, w wieku trzydziestu lat, utonął w wrzecz Missisipi. Tym samym Cornell składa mu hołd, otwarcie nawiązując do stylu kompozytorskiego Buckleya. Zafascynowany zmarłym artystą, ale również doświadczeniem „śmierci artysty”, w utworze *Wave Goodbye Cornell* wyznaje: *Język staje się węzłem nie do rozplątania / stopy potykają się o stopy / kiedy zabraknie tego kogoś.* Utwór ten jest rodzajem pożegnania z przyjacielem, próbą pogodzenia się z jego stratą. Jeszcze bardziej przejmujący – również z dzisiejszej perspektywy – i niewymagający komentarza wydaje się fragment *Follow My Way: Wypatrujesz chłopca skąpanego w podczerwieni i słońcu / Jestem gładkością i nagrodą / Odczuwam pewność beznadziej / Jak każdy tuż przed upadkiem.*

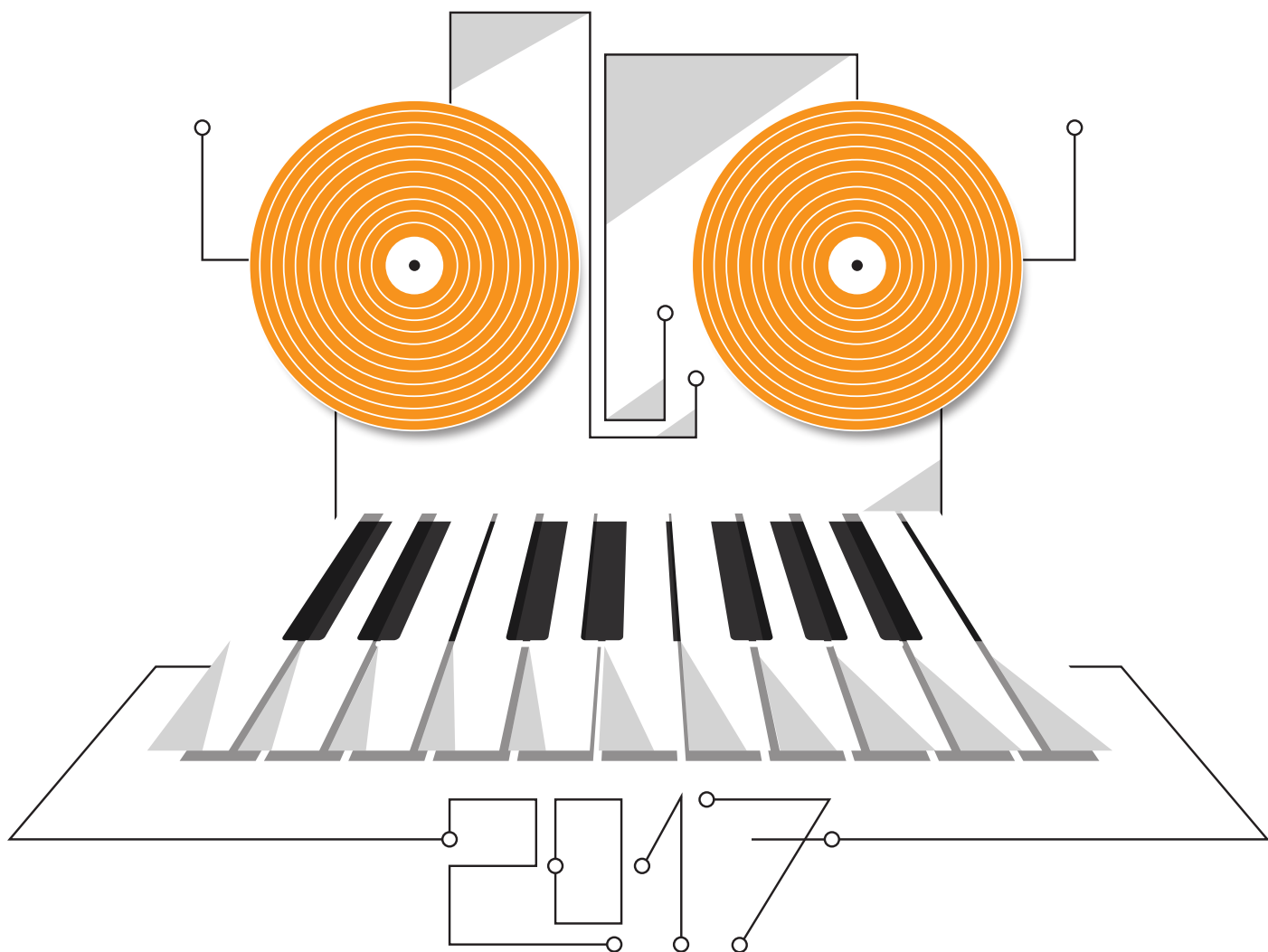
Teza rozpoczynająca ten tekst mogła być kontrowersyjna. Również wniosek końcowy można w ten sposób postrzegać. Otóż uważam, zawsze zresztą uważałem, Chrisa Cornella za wokalistę i kompozytora wyjątkowego, oryginalnego, wręcz doskonałego. Uważam też, że jego przedwczesna śmierć w żaden sposób na taką ocenę wpłynąć nie może: nagle Cornell w obliczu swojej samobójczej śmierci nie stanie się jeszcze lepszym wokalistą. Jeśli on sam myślał inaczej – i tu byłoby miejsce dla zasygnowanych kontrowersji – to mylił się okrutnie.

Sławomir Kuźnicki



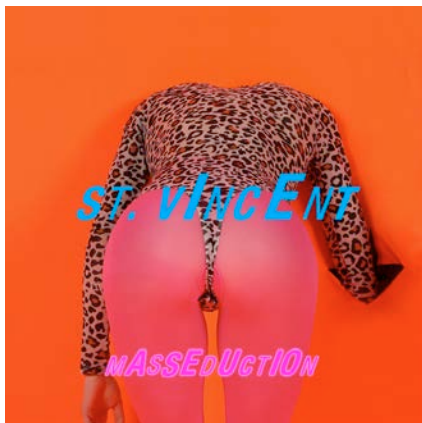
fotografie: Patrycja Wanot, Roman Rogalski, Jerzy Wypych





// Podsumowanie muzyczne roku

Marek Szubryt



St. Vincent *Masseduction*

Annie Clark ma na swoim koncie kilka bardzo udanych albumów. O uznaniu niech świadczą nie tylko obecność na największych festiwalach, ale także zaproszenie kilka lat temu do wspólnego projektu przez Davida Byrne'a. Słowem, zarówno w światku, jak i na świecie St. Vincent cieszy się uznaniem, dlatego też – śmiem twierdzić – sytuacja, w której artystka czuje potrzebę „udowodnienia czegoś”, nie jest jej codziennością. Z jednym może wyjątkiem, bo słuchając „Masseduction” można odnieść wrażenie, że artystka mówi, że nie da się łatwo zaszufładkować. Wydaje mi się także, że dzięki ostatniemu albumowi stanie się o niej jeszcze głośniejsza, gdyż „Masseduction” to płyta ze wszech miar udana. Właściwie nie ma tu słabych momentów, utwory jednocześnie zaskakują i wpadają w ucho. St. Vincent znana z tego, że jest znakomitą gitarzystką, tutaj swój instrument wykorzystuje w sposób, ciekawy, bardzo kreatywny, ale

zarazem powściągliwy (swoją drogą jest pierwszą kobietą, która może pochwalić się zaprojektowaną przez siebie i sygnowaną własnym nazwiskiem linią gitar). Swoją grą zdaje się potwierdzać tezę, że niewiele musi, zmuszając za to słuchacza do skupienia się na smaczkach. Łyżką dziegciu w tej beczce miodu może być tzw. kompresja. Rozumiem, że mezalians z elektroniką rządzi się swoimi prawami, ale słuchając płyty na dobrym sprzęcie, można odnieść wrażenie, że osobę odpowiedzialną za ostateczne brzmienie w kilku miejscach poniosło. Jest to jednak subiektywna uwaga, która nie wpływa na bardzo pozytywną ocenę całości.



King Krule *The Ooz*

King Krule to z pewnością jedna z najzdolniejszych postaci współczesnej brytyjskiej sceny muzycznej, a przynajmniej tak twierdziła krytyka w okolicy jego debiutu w 2013 roku. Z perspektywy czasu patrząc, można chyba przyznać, że dla 19-letniego wówczas Archy'ego Marshalla sytuacja nie należała do najdogodniejszych. King Krule zadziwił muzykalnością, pomysłowością i głosem, ale do

zachwytu brakowało „tego ostatniego akcentu”. Po kilku latach przerwy artysta wydał kolejny album, który już posiada wszystkie elementy, by spełnić nałożone wcześniej wymogi, bowiem „The Ooz” to płyta zachwycająca, ze wszech miar oryginalna i jednocześnie kompletna. Klimatem przywodzi na myśl śmieszno-straszne thrillery z lat osiemdziesiątych czy kiczowate horrory, muzycznie natomiast mamy tu do czynienia z połączeniem najróżniejszych gatunków: od czegoś na kształt indie rocka, przez trip-hop czy nawet jazzujące akordy. Zaryzykuję stwierdzenie, że King Krule ma talent, a jego „The Ooz” pokazuje potencjał, o jakim inni mogą tylko pomarzyć.



Hańba! *Będą bić!*

Tak naprawdę żyjemy w roku 1937, a zbuntowana orkiestra podwórkowa Hańba! daje koncerty, jeżdżąc od miasta do miasta. Pochodzący z Krakowa zespół, który na warsztat wzięty przedwojennych poetów, udowadnia, że punk rock nie powstał pod koniec lat siedemdziesiątych na Wyspach Brytyjskich, ale przed wojną na którymś z krakowskich podwórek.

Sytuacja robi się jeszcze ciekawsza, jeśli zwrócimy uwagę na istic punkowe instrumentarium: banjo, akordeon, tubę, klarnet i grzebień. Warto muzyków pochwalić nie tylko za pomysłowość i energię, ale też za pracę, jaką wykonali, szukając tekstów na swoje albumy. Efekt jest zaskakujący i mimo że większość słów na płytę napisana została w latach trzydziestych ubiegłego wieku, a wspomnianej wcześniej stylistyce daleko do współczesności, album zadziwia aktualnością. Warto też dodać, że na swoim debiucie muzycy nikogo po głowie nie głąkali, „Będą bić!” jest płytą o wiele mocniejszą i ostrzejszą. Ale wiadomo, pod koniec roku 36 sytuacja międzynarodowa staje się coraz bardziej nerwowa, a II Rzeczpospolita nie wszystkim jawi się jako raj. Jeśli natomiast miałbym się do czegoś przyczepić, to będzie to brzmienie płyty, czasami zanadto gryzące. Mimo to gorąco polecam.



Kamasi Washington *Harmony of Difference*

Po zaskakującym debiucie, o którym bardzo szybko zaczęli mówić niemal

wszyscy, Kamasi Washington wydał drugi album, skomponowany na zamówienie biennale w nowojorskim Whitney Museum. „Harmony of Difference” to płyta diametralnie różna od „The Epic”, zbudowana jest bowiem na zarówno zuchwałym, jak i ogranyym pomysle: wszystkie sześć utworów opiera się na tym samym temacie. Różni je aranżacja, tempo, modulacje, jednak wszystkie posiadają, że nawiążę do okładki, ten sam korzeń. W porównaniu z „Epic” płyta poraża prostotą i lekkością, co przekłada się na przyjemność i łatwość słuchania. Z „epickości” czy wręcz pompatyczności, jak powiedzieliby złośliwi, poprzedniczki na „Harmony of Difference” pozostały tylko tytuły: prawda, pokora, pożądanie, uczciwość itp., utwory zaś na niej się znajdujące to melodyjne i przystępne w swej formie kompozycje. Nie uznaję tego za wadę, wręcz przeciwnie, Kamasi Washington nagrał bardzo udany album, którym ma okazję z czasem zyskać jeszcze większe uznanie.



DOBRE, BO POLSKIE

Jazzpospolita *Humanizm*

Na potrzeby tejże recenzji, niczym prezes Kaczyński 500+, obliczyłem szybko w głowie, że „Humanizm” jest szóstą płytą w dorobku Jazzpospolitej. Piszę o tym dlatego, że zaskoczenie moje było nie-małe, gdyż do kwartetu przyłgnęła łątka „młody, obiecujący zespół”. To trochę



Jazzpospolita, fot. Honorata Karapajuda

jak z aktorami czy pisarzami w naszym kraju, którzy będąc już po czterdziestce, wydają kolejną powieść, a mimo to nadal nazywani są obiecującymi debiutantami. Debiutant to może mieć dwadzieścia lat, a zespół zakłada się w liceum albo najpóźniej na studiach, a panowie te czasy mają już za sobą. Tymczasem „Humanizm” jest płytą nie tylko znakomitą, ale także wyjątkowo dojrzałą. Znajdą się pewnie tacy, co nazwą ją powolną lub ślamazarną, ale nic bardziej mylnego. Kompozycje Jazzpospolitej, w większości bardzo powściągliwe, odsłaniają swoją urodę powoli, zaskakując przy tym pomysłowością i kunsztem. Zagrane i zaaranżowane z lekkością utwory mają zupełnie inne tempo, aniżeli miało to miejsce w przeszłości. Ale żeby nie było, na „Humanizmie” mamy także kilka kompozycji na przekór, by wymienić filmowy „Pusty pociąg”, nagrany na siedem łamaniec „Pański paszport to jakiś żart” czy świetny singiel „Combination”, nagrany w duecie z Pauliną Przybyesz. Naprawdę warto.



DEBIUT ROKU

Jazz Band Masecki-Młynarski *Noc w wielkim mieście*

Umieściłem tę płytę w kategorii Debiut Roku, bo Jazzband Masecki-Młynarski jest tworem nowym, ale muszę przyznać, że równie dobrze można by ją swobodnie z powodzeniem wsadzić do każdej innej kategorii, z „lepszej płyty nie znajdziecie, więc możecie już przestać szukać” włącznie. Krótka notka nie wystarczy, bym mógł się nachwalić wszystkich muzyków na niej grających, dlatego powiem tylko, że dzięki współpracy Marcina Maseckiego i Jana Młynarskiego wraz z kolegami otrzymujemy skarb, który – wydawałoby się – stracony został bezpowrotnie. Na „Nocy w wielkim mieście” można bowiem znaleźć wszystko to, co tworzono na pograniczu jazzu, kabaretu i teatru w latach dwudziestych i trzydziestych. Niestety pożoga wojenna i związany z nią holokaust przeorał nasz kraj, a co za tym idzie – także kulturę, w tym przypadku rozrywkową, w sposób niezwykle

brutalny. O znakomitych kompozytorach i autorach piosenek żydowskiego pochodzenia pisaliśmy kilka MIC-ów temu w artykule „Rewia, getto i Hollywood”, którego lekturę przy tej okazji gorąco polecam. Jak już wspomniałem, ciągłość rozwoju tej dziedziny po wojnie nie była możliwa i śmiało można powiedzieć, że staliśmy się jako naród ślepi na jedno oko, ale Jazz Band Masecki-Młynarski stwarza szansę, byśmy przynajmniej przestali być na jedno ucho głusi. Warto dodać, że przy wzmożonej modzie na międzywojnie wydawnictwo nie ma w sobie nic z nachalnej czy kliwej cepelii obliczonej na szybki zysk. „Noc w wielkim mieście” to, tylko tyle i aż tyle, płyta wyjątkowa, która zaaranżowana, zagrana i nagrana jest tak, że czapki z głów.



ŻENUA ROKU

Grabaż i SNL *Przechodzień o wschodzie*

Z całych sił pragnę ostrzec przed ostatnim wydawnictwem Grabaża i Strachów na Lachy. Swoje słowa w szczególności kieruję do tych, którzy mają sentyment do którejs z starych, tej

czy tamtej, płyt Pidżamy Porno. Chcąc uniknąć nadmiernego pastwienia nad Krzysztofem Grabowskim, powiem tylko, że gdy słuchałem albumu „Przechodzień o wschodzie”, towarzyszyły mi trzy gesty: zbieranie szczęki z podłogi, przecieranie oczu ze zdumienia oraz zakrywanie dłońmi twarzy z zażenowania. Muzycznie Strachy na Lachy to zawsze było lepsze albo gorsze liceum, ale teraz przeszli samych siebie. Tekstowo natomiast ich ostatnia płyta to wcale nie mniejsza tragedia: częstochowskie rymy i porównania mogące bić się w konkursie o metaforę godną „tuneli samotności oraz korytarzy szczęścia”. Można by wymieniać w nieskończoność, ale aby nie przedłużać – crème de la crème – fragment piosenki pt. *Krótki sznur*:

*Hej! Madzia, Madzia, Madzia
Tak chciałbym znów cię nadziać
Na swój gorący ruszt
TAK!!!
Czy mam mówić dalej???
Wycierać róż z twoich ust
Dyskretnie...
Sympatycznym palcem
W piersiach twoich się zanurzyć
I paść na koc po miłosnej walce*

Michał Mościcki



Sherwood & Pinch *Man vs. Sofa*

Król europejskiego dubu spotyka się z księciem dubstepu po raz kolejny. Jeśli ktoś się zastanawiał, czy ta kooperacja może się jakkolwiek udać, to album sprzed dwóch lat musiał owe wątpliwości rozwiązać. Na tegorocznym „Man vs. Sofa” pozostało panom trzymać się obranego kursu i podążać spokojnie po laury i przychylnie recenzje. Tak się jednak nie stało, bo duet postanowił opuścić basową strefę komfortu i wyruszyć na poszukiwanie nowych brzmień. Efektem jest album eksperymentalny, to prawda, ale nie sposób odnieść wrażenia, że Sherwood i Pinch znaleźli się w sytuacji, którą można określić mianem porozumienia absolutnego. Żaden z wydobywających się z głośników dźwięków nie jest zbędny, nieprzemysłany. Choć wszystko osadzone jest na ciężkim basie (nie mogło być inaczej, prawda?), to rytmy zmieniają się jak w kalejdoskopie, serwując nam podróż śladami przeróżnych gatunków

muzycznych. Trudno oprzeć się wrażeniu, że kompozycje są dopracowane w najmniejszym szczególe, choć daleko im do wyliczonych, mechanicznych dźwięków. Jest w tym wszystkim głębia, choć aby ją poczuć, trzeba poświęcić płytce trochę czasu. Wwierca się do głowy z czasem. Ale zostaje na długo.



Sharon Jones *Soul of a Woman*

Gdy podsumowywaliśmy rok 2016, wspominając płytę The Frightnrs i ich wokalistę, który zmarł po walce z ciężką chorobą, nikt nie mógł przypuszczać, że dla wytwórni Daptone Records nadchodzący rok będzie jeszcze smutniejszy. Odszedł Charles Bradley oraz wspomniana na łamach tego MIC-a Sharon Jones. Płyta, którą fani otrzymali, gdy jej już nie było, jest prawdziwym muzycznym testamentem. Znajdziemy tu wszystko, za co ludzie zdążyli Sharon pokochać: przepiękny, pełen pasji głos, energię i uczucia. Wszystko zanurzone w do szpiku korzennym soulu, który brzmi tak, jakbyśmy przenieśli się wehikułem czasu do lat przełomu lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Wszystko pompuje

rozbudowana sekcja dęta, napędzana machiną sekcji rytmicznej i pięknie „schoowanymi” gitarami. Jest forma, ale jest też i treść. Historie pięknie wkomponowują się w muzyczny klimat i nawiązują do klasyki gatunku. Miłość, złamane serca, smutek, Bóg i ukojenie. Gdy odchodząc, zostawia się po sobie takie cuda, to tym, którzy zostają, jest z pewnością łatwiej. Ale dlaczego tak wcześnie?



The Afghan Whigs *In Spades*

Greg Dulli z ekipą zaskoczyli po raz kolejny. Nie stylistyczną woltą, nie treścią piosenek, ale... znakomitą formą i niezaprzeczalnym rozwojem swojej twórczości. Po świetnie przyjętym albumie „Do The Beast” nikt się chyba nie spodziewał, że może być jeszcze lepiej, wszak powrócili wtedy po 16 latach przerwy wydawniczej. A jednak się udało! To, że żaden z nich nie próżnował w czasie „roźłąki”, wyszło im tylko na dobre. Szereg projektów, z Twilight Singers na czele, z pewnością pozwoliło rozwinąć skrzydła i pozostać w procesie twórczym. Mamy na „In Spades” mnóstwo energii, choć podszytej sporą dawką melancholii, co dziwi w tym

przypadku nie może. „Soulowe” serce Dulliego daje o sobie znać z pełną mocą, wspierane przez klawisze i wirujące gitary. To emocje i prawda są jednak najsilniejszym orężem Afghańców. Nie zostawiają nikogo obojętnym, to klasyczne „albo – albo”. Z pewnością warto zaryzykować.



Sean Rowe *New Lore*

Tak, album „New Lore” nie odkrywa przed nami nieznanego oblicza folku czy country i nie będzie kamieniem milowym w songwriterskim świecie. Zdawać by się mogło, że Rowe to kolejny jegomość w kraciastej koszuli, z brodą do pasa i sporą ilością pomady we włosach. Jeśli jednak szukacie autentycznych pieśni, które pozbawione są zbędnych ornamentów, to niski głos Seana wtłoczy je prosto do Waszego serduszka. Jest tu sporo o miłości ojcowskiej, o rozstaniach, odejściach i powrotach, ale też o prostych radościach i życiu w drodze. Wszystko wyważone, pięknie smutne, ale strawne. Wyruszając w tę podróż, nie pożałujecie, słowo drwała!



Ibeyi *Ash*

Kolejna płyta, zatem od razu miejsce w MIC-owym podsumowaniu. Da się? W przypadku szalonych siostr wydaje się to dziecinnie łatwe, ale jeśli nagrywa się takie albumy, to wszystko inne z łatwością przyjąć musi. Progres widać już z perspektywy zaproszonych gości, wszak Kamasi Washington czy Chilly Gonzales rozsądnie dobierają współpracowników, a w muzycznej „alternatywie” to niezwykle gorące nazwiska. Szalonym Ibeyi można jednak zaufać, a efekty są, jak się okazuje, piorunujące. „Ash” to album, na którym elektroniczne dźwięki w sposób tak naturalny łączą się z muzyką korzeni, jakby były one zespolone od zawsze. Wokalne harmonie dziewczyn są niezwykle ożywcze dla kompozycji. Dźwięki wibrują, znikają, powracają ze zdwojoną mocą. Przestrzeń to słowo klucz. Wokal prowadzi nas poprzez odrębną opowieść, pełną bólu, ale też siły życiowej. Uszczknijcie coś dla siebie.

**JARECKI
ZA WYSOKO**



DOBRE, BO POLSKIE

Jarecki *Za wysoko*

Warto było czekać. To pierwsza reakcja po odsłuchaniu „Za wysoko”. Jarecki po wspólnych płytach z DJ-em BRK i kooperacjach z Grubsonem powraca z albumem pełnym bujającego funku, ciepłego soulu i niezwykle energetycznych dźwięków. Wszechobecny na płycie groove dopełnia świetnie zaaranżowana sekcja dęta. Choć sporo tu ukłonów do epok minionych, wszystko brzmi niezwykle świeżo i współcześnie. To z pewnością zaśluga Eproma, który ma bez wątpienia smykałkę do takowych kompozycji. Gdy wszyscy dookoła eksperymentują z autotunem, łamią rytm i dodają efekty, Jarecki postawił na prostotę, a ta niezaprzecalnie staje się atutem albumu, który działa jak antydepresant i kipi pozytywną energią. Aż chce się krzyknąć za artystą: „Ja chcę tylko funk!”



DEBIUT

FKJ *French Kiwi Juice*

FKJ to francuski multiinstrumentalista, który w całości wyprodukował własny, debiutancki album „French Kiwi Juice”. Otrzymaliśmy niezwykle ciepłe, soulowe kompozycje umiejętnie wspomagane elektroniką, choć to w zasadzie niezwykle współczesne R’n’B, w których słychać sporo gatunkowych inspiracji. Wokale doskonale podtrzymują ten sympatycznie leniwy klimat. To doskonała propozycja dla zmęczonych pogodą za oknem: plu- chą, śniegiem i zimnem. Spokojnie można przepisywać FKJ na wszelakie chandry i wahania nastrojów. Jak się okazuje, sok z kiwi działa niezwykle kojąco.



foto: mat. pras. TVP

ŻENUA

Rafał Brzozowski *Koło Fortuny*

Choć Telewizję Polską od lat ciężko podejrzewać o programy rozrywkowe wysokiej jakości, to ostatnimi czasy serwuje nam sporą porcję kandydatów do kategorii podsumowania: „Żenua Roku”. Tym razem TVP wystawiła niezwykle mocną kandydaturę w postaci Rafała Brzozowskiego, który z założenia miał w glorii i chwale przywrócić blask „Koła Fortuny”. Jak to się mawia: nie pykło. To w zasadzie mało powiedziane. Wygląda to momentami tak, jakby przy tworzeniu programu palce maczali twórcy Monthy Pythona. Brzozowski, który w przerwie w robieniu przysiadów śpiewa Bee Geesów, po czym wręcza zwycięzcy nagrodę: program antywirusowy. Tańczy, śpiewa, podskakuje, zagaduje i... żenuje. Poziom absurdu, jaki otrzymujemy, podziwiać można oczywiście via YouTube, bo polowanie na program w telewizji oznaczałoby wysokie pokłady masochizmu.

Rafał Czarnecki



Dub Pistols *Crazy Diamonds*

Każdy z was ma pewnie takie zespoły lub też wykonawców, od których nie wymaga ciągłego przekraczania Rubikonu, oczekując po kolejnych albumach jedynie dostarczenia porządnie i z pomysłem zrobionej muzyki. Tylko tyle i aż tyle. Jednak, wbrew pozorom, sztuka to niełatwa. I ja tak właśnie mam z Dub Pistols. Kolektyw z Londynu tym razem nie zawiódł pokładanych w nim nadziei i muzycznie jak zawsze mamy tu do czynienia z miksem stylów spod jamajskiej bandery, czyli: reggae, ragga, dancehall, dub czy jungle. Wśród gości za mikrofonem znaleźli się tacy starzy wyjadacze jak Beannie Man, ale też młode wilczki, jak chociażby Too Many T's. Wszystko porządnie buja, czyli jest tak, jak być powinno. Idealna płyta na zimę.



Hercules and Love Affair *Omnion*

Nowojorczyki w tym roku uraczyli nas swym trzecim albumem. Cały czas trzymają się stylistycznie własnej wersji retro house'u, który czasami skręca w stronę nu-disco, a czasami moglibyśmy mówić wręcz o synth-popie. Muzyka taneczna z udziałem licznych gości przy mikrofonie, jak to zawsze u Hercules and Love Affair bywa. I w tym momencie zaczyna się robić ciekawie, bo gdy spojrzymy na sferę liryczną piosenek, to już tak wesoło nie jest. Zresztą sam lider grupy, Andy Butler, wielokrotnie w wywiadach wspominał, że album powstawał w czasie, gdy zmagał się z uzależnieniem od alkoholu i narkotyków, co miało bezpośrednie przełożenie na sam album. Porównać to można do sytuacji, kiedy cały świat tańczył do *Rehab* Amy Winehouse. Tańcz, ale i myśl. Tańcz, ale się nie zatracaj. Ciekawy album.



Pop Makossa *The Invasive Dance Beat of Cameroon 1976–1984*

Analog Africa, niewielkie niemieckie wydawnictwo, za obszar zainteresowania wzięło sobie Czarny Kontynent. Co jakiś czas częstuje nas swymi wydawnictwami, które prezentują wybrany kraj. Tym razem wzięło na warsztat Kamerun i gatunek, który wykiełkował właśnie tam, a mianowicie tytułowy pop makossa. Na płycie „The Invasive Dance Beat of Cameroon 1976–1984” dokonano przeglądu artystów związanych z wyżej wspomnianym nurtem, ale czym on właściwie jest? W dużym uproszczeniu brzmienie gatunku oparte jest na charakterystycznej afrykańskiej rytmice, wraz z naleciałościami disco i funku. Warto również zaznaczyć, że cały album jest przepięknie wydany. Bardzo ciekawa, przyjemna i pouczająca podróż.



Hurray for the Riff Raff *The Navigator*

Na wstępie się przyznam: mimo że to już szósta płyta w dorobku Hurray for the Riff Raff, w moim przypadku jest to pierwsze zetknięcie się z tym zespołem, na którego czele stoi Amerykanka o portorykańskich korzeniach – Alynda Mariposa Segarra. Piszę o tym dlatego, że korzenie te słychać na płycie bardzo wyraźnie, choć w bardzo szlachetny i nienachalny sposób. Wcześniejsze albumy znajdowały się w szufladce z napisem „americana”, co na początku nieco ostudziło mój zapał, jako że nie jestem specjalnym admiratorem tego nurtu. Ale spokojnie, tej płyty nie da się włożyć do jednej szufladki stylistycznej, gdyż pojawią się tu i minimalistyczne ballady, i utwory okraszone smyczkowymi aranżacjami, a i gitara gdzieś tam miło zarzęzi. Dodatkowo jest to świetnie wyprodukowana płyta. Sama przyjemność słuchania.



Slowdive *Slowdive*

Kolejni wielcy ze świata shoegaze powrócili, wydając płytę aż po 22 latach przerwy. Slowdive to zespół, którego album „Souvlaki” stawia się często na równi z „Loveless” My Bloody Valentine. Prześmiewcy twierdzą, że shoegaze to styl muzyczny charakteryzujący się tylko wpatrywaniem w podłogę podczas odgrywania wciąż tego samego utworu. No, ale czy warto wierzyć prześmiewcom? Admiratorzy widzą piękne rozmyte ściany gitar, oniryczny klimat, romantyczne linie melodyczne. I taki jest właśnie krążek „Slowdive”, zatytułowany zresztą jak pierwsza epka zespołu. Powrót do źródła? Pewnie tak, choć akurat oni nigdy za daleko od nich nie odeszli. No i jeszcze jedna uwaga. Jeśli lubisz The Cure, to polubisz także nowy Slowdive. To nie zarzut, gdyż kreatywnie się inspirować to też sztuka.



DOBRE, BO POLSKIE **EABS** *Repetitions (Letters to Krzysztof Komeda)*

Pełna nazwa septetu z Wrocławia brzmi Electro Acoustic Beat Session. Panowie na warsztat wzięli utwory Krzysztofa Komeda, co więcej – utwory nieoczywiste, które nie należą do najbardziej rozpoznawalnych, co już samo w sobie jest śmiałym posunięciem, bo pewnie łatwiej by było przerobić najbardziej znane motywy i sprzedać je pod szyldem nieodżałowanego jazzmana. Poza tym panowie przełożyli Komedę absolutnie po swojemu, z dużą domieszką hip-hopu. Nie będę was oszukiwał, nie jestem jakimś specjalnym znawcą jazzu, ale ten album absolutnie zauroczył mnie swą muzikalnością, budowaniem napięcia i emocjami, które kłębią się w każdym utworze. A za najlepszą rekomendację niech posłuży wypowiedź jedyne gościa na płycie, czyli Michała Urbaniaka, który usłyszawszy ten album, zapytał: Co mogę zrobić, aby na nim grać?



DEBIUT **Bluszcz** *Junior*

Bluszcz to duet dwóch braci pochodzących z Wrocławia, którzy swą muzykę określają jako PRL synth-wave i trzeba przyznać, że ta zbitka idealnie określa rodzaj granych przez nich dźwięków. Można tylko dookreślić, że poruszamy się tu po latach osiemdziesiątych, a prym wiodą oczywiście syntezatory, ale należy też dodać, że gdzieś tam usłyszymy również gitarę i wokale. Wszystko toczy się w chilloutowym nastroju, podany z dużym wyczuciem i gracją. Bardzo przyjemna płyta. Całość zamyka się w 40 minutach (9 utworów), więc aż się prosi o winylową wersję. Takie debiuty lubię.



ŻENUA

Norbi (feat Robert Rozmus)

Materacci

Co roku w czasie lata wraz ze wzrostem temperatury za oknem ludziom zazwyczaj lasują się mózgi. Przynajmniej ja odnoszę takie wrażenie, zapoznając się z katalogiem piosenek zapisanych w folderze „Hit wakacji”. Ale „piniondz” z tego ponoć jest, więc nie ma co się głupio obrażać. Ja postanowiłem Cię wspomóc, Drogi Czytelniku, i jeśli zechciałbyś dopełnić własnego hita, spieszę dostarczyć Ci krótkiej recepty na sukces. Po pierwsze – refren, na jego barkach opiera się całe powodzenie naszej piosenki. Może być bardziej prostacki niż ten zastosowany w naszym przykładzie, nieważne. Zaryzykujmy! Ale pamiętajcie, liczy się refren!

*Hej, kochanie, słońce już na niebie
Hej, skarbenku, ja najbardziej wciąż chcę ciebie
Hej, myszeczko, myśli moje wciąż splątane
Hej, kwiatuszku, ucieknę nad ranem*

Zwrotka z kolei nie powinna być zbyt absorbująca, najlepiej jakieś miłe pitu-pitu. Sposób wykonania: zaśpiewany, zawyty, rymowany. Zwrotka może posiadać dwie części, ale nie jest to konieczne. Dlaczego? Bo ważny jest refren!

*To królowa jest Bałtyku, to królowa plaż
W takim starciu, mój kolego, nie mam żadnych szans*

*Oczy ma jak dwa diamenty, jak ogniki dwa
Już przepadłem, już zginąłem, już mnie zabrał wiatr*

Można zrobić jeszcze ewentualnie przejściówkę w stylu „uuuuuuu widzę cię z daleka lala” lub „aaaaa gorąco nas spala”. A gdybyś chciał jeszcze się doszkolić, Drogi Czytelniku, polecam „wakacyjny hit” Norbiego. Znajdziesz w nim wszystkie wyżej opisane myki.

KONCERT

RALPH KAMINSKI

& MY BEST
BAND IN THE WORLD

TRASA
morze

09/02/2018
SALA KAMERALNA NCPP



Kolędowanie z Tomem Waitsem

Mieszkańcy austriackiego Oberndorfu nie spodziewali się, że zostaną tak mile zaskoczeni, gdy tłumnie stawili się na pasterce w Wigilię 1818 roku. Ich proboszcz Joseph Mohr wraz z Franzem Gruberem, miejscowym organistą, przygotował dla nich niespodziankę – skomponowaną specjalnie na tę okazję pieśń.

Organy w miejscowym kościele zostały poważnie uszkodzone, więc Gruber sięgnął po gitarę. Dwa głosy solowe w towarzystwie chóru sprawiły, że niejeden parafianin ocierał łzę, a najtwardsze serca miejscowych flisaków zaczynały topnieć. Choć wzniosły bożonarodzeniowy nastrój udzielił się wszystkim, to nikt nie mógł przypuszczać, że oto są świadkami narodzin jednej z najpopularniejszych pieśni świata. *Cicha noc* rozlała się po świecie lotem błyskawicy. Dziś śpiewana jest w 300 językach i dialektach, od lepiank w Zimbabwie, po centra handlowe na Manhattanie. „Najstarsi górale” w Oberndorfie twierdzili, że pieśń spadła z nieba, a gdy okazało się, że ma ona swoich autorów, uznali, że z pewnością została spisana piórem z anielskiego skrzydła. Zbudowana z tej okazji kaplica przyciąga w Wigilię każdego roku tysiące wiernych z całego świata, którzy w bliskim sobie języku wyśpiewują tę pełną melancholii pieśń ku chwale Nowonarodzonego.



Tom Waits / fot. Drew Kelly / drewkelly.com

Zaskoczenie mieszkańców małej wioski pod Salzburgiem z pewnością mogłoby dorównać temu, jakie pojawiło się wśród publiczności koncertu Toma Waitsa w teksańskim Austin. Występ zbliżał się ku końcowi, gdy artysta zasiadł do fortepianu. Pierwsze dźwięki słynnej kolędy zabrzmiały jak żart. Kabaretowy nastrój wydarzenia, przepelnionego groteską i czarnym humorem, nijak miał się do wzruszających tonów, z których słynie *Cicha noc*. Gdy po pierwszych wersach wybrzmiały dźwięki piosenki Waitsa *Christmas Card From A Hooker In Minneapolis*, audytorium nie potrafiło opanować śmiechu, choć to, co usłyszeli, bynajmniej wesołe nie było. To historia opowiadana przez prostytutkę,

kóra w pocztówce do Charliego, swojego byłego chłopaka, pisze o przemianie, porzuceniu narkotykowo-alkoholowych nałogów i ustatkowaniu przy boku męża, który kocha jej syna jak swojego, gra na trąbce i jest porządnym człowiekiem. Opowiada sporo o marzeniach i planach. Gesty i mimika Toma Waitsa powodują kolejne salwy śmiechu, które przerywa dopiero puenta, jak można przypuszczać – niezbyt radosna. Wszystko okazuje się budną, a wspomniana powyżej kobieta prosi o pożyczkę, z której spróbuje spłacić adwokata i wyjść warunkowo z więzienia po świętach. Gdy kończąc utwór, artysta powraca do kolędy, na widowni zapada absolutna cisza.

Kiedy prześledzi się twórczość Toma Waitsa, trudno być zdziwionym takim obrotem spraw, choć jego muzyka to doskonały przykład na to, jak sztuka może uwznioślić prozę życia, a codzienność stać się inspiracją dla pełnej emocji twórczości. To w zasadzie spadkobierca poezji beatników, ten, który w kłoszardzie ma brata, mordercę za sąsiada, a w najbardziej poniżonej ładacznicy znajdzie kompana do whiskey. Wywracając nam świat do góry nogami, Waits wykołaja nas z codziennej rutyny i pozwala otworzyć oczy na świat dookoła. Przy okazji nobilituje tych, którzy na co dzień są mniej „fit”, „glamour” i „fancy”, co może pobudzać do refleksji nad kondycją ludzkości w ogóle. Trzeba przyznać, że to iście chrześcijańskie przestanie, nieprawdaż?

Michał Mościcki

PJ Harvey

The Ministry of Defence [Ministerstwo Obrony]

tekst: Sławomir Kuźnicki i Bartosz Suwiński



PJ Harvey, fot. Marra Mechnacz / ppharvey.net / marra.mechnacz.co.uk

Pomiędzy 2011 a 2014 rokiem brytyjska wokalistka rockowa PJ Harvey odbyła kilka podróży do Kosowa, Afganistanu i Waszyngtonu.

Za każdym razem towarzyszył jej uznany fotograf Seamus Murphy. Wynikiem tych podróży jest nie tylko świetnie oceniana płyta artystki z 2016 r., „The Hope Six Demolition Project”, ale też wydany wspólnie przez oboje artystów album z jej wierszami i jego zdjęciami pt. „The Hollow of the Hand” [Wnętrze dłoni] (2015). Wiersze Harvey, z których część znana jest w formie tekstów piosenek ze wspomnianej płyty, uderzają właściwościami charakterystycznymi dla sztuki fotografii. W tych pozornie prostych i nieprzeładowanych migawkach udaje jej się uchwycić wyjątkową atmosferę odwiedzanych miejsc, którą przefiltrowuje przez swoją kobiecą wrażliwość. Stosując fotograficzną technikę skupiania się

na detalu i na czasie teraźniejszym, w swoich tekstach Harvey odkrywa jakąś ulotną prawdę o tych trzech miejscach zawieszonych w konkretnym momencie. Prawda ta jest zawsze naga i brutalna, jako że artystka nie stara się unikać społecznych i politycznych obserwacji. Wręcz przeciwnie, koncentrując się na nich, osiąga rodzaj zaangażowanej wizji poetyckiej, w której niesprawiedliwości tego świata oglądane są przez jej wrażliwą, intymną soczewkę. Jako przykład niech posłuży utwór *The Ministry of Defence*, którego – z niezrozumiałych względów – próżno szukać w tomiku, ale który stanowi jeden z najmocniejszych fragmentów płyty.

The Ministry of Defence

This is the Ministry of Defence
Stairs and walls are all that's left

Mortar holes let through the air
Kids do the same thing everywhere

They've sprayed graffiti in Arabic
And balanced sticks in human shit

This is the ministry of remains
Fizzy drinks cans and magazines
Broken glass, a white jawbone
Syringes, razors, a plastic spoon

Human hair, a kitchen knife
And a ghost of a girl who runs and hides
Scratched in the wall in biro pen
This is how the world will end

There's the bus depot to the right
Levelled like a building site

Those are the children's cries from the
dark

These are the words written under the
arch

Scratched in the wall in biro pen
This is how the world will end.

Ministerstwo Obrony

oto Ministerstwo Obrony
same schody i ściany

przez dziury po moździerzach
widać bawiące się dzieci

na ścianach arabskie napisy
pod schodami ludzkie odchody

oto ministerstwo odpadów
puszek po coli i stert gazet

tłuczonego szkła i białej kości żuchwowej
strzykawek, żyletek i jednej plastikowej
łyżeczki

ludzkich włosów, kuchennego noża
i ducha uciekającej dziewczyny
wyskrobanego w murze zepsutym
długopisem:
właśnie tak kończy się świat

na prawo zajezdnia dla autobusów
a właściwie to, co z niej zostało

jeszcze tylko krzyki dzieci gdzieś
w ciemności

jeszcze tylko słowa wyskrobane
zepsutym długopisem w murze:
właśnie tak kończy się świat

Opór. Upór

Leży trup tępo jak zardzewiała żyletka.
Nowy tydzień wojny i stara dewocja
godzin, które wciąż bierzemy, jakby były
w kredycie. Znowu dni o świetle przepalonoj
żarówki.

Pozostaje napoczynanie przestrzeni,
która jeszcze nie zdecydowała, po której
jest stronie. Peryferyjne sny księżycowe
puszczone jak psy z łańcucha. Parująca
mierzwa, z oddali zbliża się godzina. Na
chwilę przed naciśnięciem spustu, wpisani
w krajobraz jak słońce. Dzielimy to samo
powietrze i strach przed następną godzi-
ną przypiętą do nieba jak gwiazda, której
światło nie przebija chmury.

Otwarty okrąg dni, które scala brak. Sieć
pajęcza na gruzowisku. Opłotki snów
z dziurawymi obejściami. Kule wychodzą
z wierszy jak kobieta w sukience w groszki
z domu Boga Ojca. Zamiast powrotów
– powrozy chwil, na których wiesz się
czas.

Mętna toń, w której ledwo przejrzysz się
księżyc. O tej porze nad zajezdnią autobu-
sów w każdym śnie mieszka ból.

Wychodzę z Ministerstwa Obrony. Idę do
domu i właśnie ktoś umiera. Ściągam buty
i właśnie ktoś umiera. Myję zęby i właśnie
ktoś umiera. Odkrywam kołdrę i właśnie
ktoś umiera. Patrzę na księżyc i właśnie
ktoś umiera. Zasypiam i właśnie ktoś
umiera. Właśnie ktoś umiera.

grudzień 2017

Redakcja:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole, mic@ncpp.opole.pl

Opracowanie, redakcja treści: Marek Szubryt, m.szubryt@ncpp.opole.pl

Zespół redakcyjny: Marek Szubryt, Rafał Czarnecki, Michał Mościcki

Okładka: Kamil Pieśniewski, grafika@ncpp.opole.pl

Opracowanie graficzne, skład: Kamil Pieśniewski

Reklama: Aleksandra Chłodnicka, a.chlodnicka@ncpp.opole.pl

Współpraca: Sławomir Kuźnicki, Bartosz Suwiński

Korekta: Krzysztof Szymczyk

Nakład: 2000 egzemplarzy

Wydawca:

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki

ul. Piastowska 14a, 45-082 Opole, biuro@ncpp.opole.pl

ISSN 2299-6273

„Muzyczny Informator Culturalny”

MAGAZYN BEZPŁATNY



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki

MIC
MUZYCZNY INFORMATOR CULTURALNY

SZUKAJ NAS W SIECI



02.02 Fisz Emade Tworzywo

04.02

Anita Lipnicka

08.02

Luxtorpeda

09.02

Ralph Kamiński

10.02

Wacław Zimpel

14.02

To Mało Powiedziane

16.02

Department

17.02

KęKę

02.03

EABS - Repetitions
(Letters to Krzysztof Komeda)

03.03

Krzysztof Zalewski

09.03

Punky Reggae Live
(Farben Lehre, Analogs, Gutek)

10.03

PlanBe / ReTo

14.03

To Mało Powiedziane

16.03

Bitamina

17.03

Variété

21.03

Rock Time

23.03

Lao Che

24.03

Katarzyna Groniec

06.04

Łąki Łan

07.04

Tede

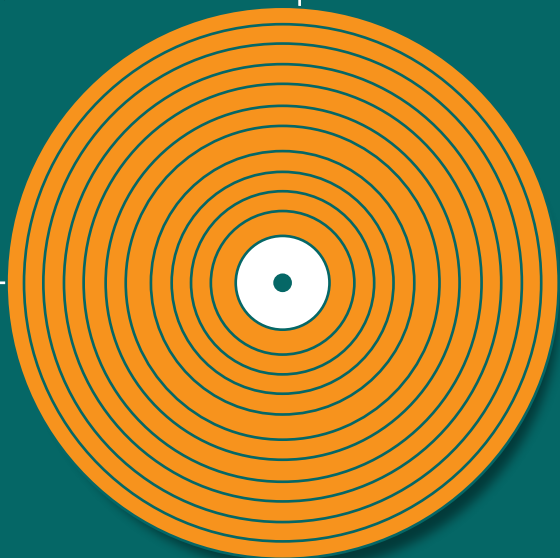
13.04

Jelonek

14.04 Bednarek

repertuar

Narodowe Centrum Polskiej Piosenki



Narodowe
Centrum
Polskiej
Piosenki



WWW.NCPP.OPOLE.PL

TU ODERWIJ

Pub Maska-Laboratorium

Rynek 4,5,6 45-015 Opole



Oferujemy

- dwa klimatyczne Puby
- salę restauracyjną
- organizację imprez okolicznościowych
- catering



www.pubmaska.pl

tel: +48 508 491 760

email: maska@pubmaska.pl

[f/pub.maska](https://www.facebook.com/pub.maska)

 **Sopelek**[®]
smaczne lody od lat

www.sopelek.com.pl



...IE CYNAMON GORZKA CZEKOLADA JOGURT NATURALNY KARMEL Z SOLĄ ANANAS KIWY GREJPFRU...
...PRESSO MIĘTA Z LIŚCIAMI MIĘTY ORZECH LASKOWY PIEMONCKI PISTACJA SICILIA PURO TIRAMISU ZAB...
...JONE STRACIATELLA JOGURT NATURALNY Z MALINAMI TRUSKAWKA MALINA ACEROLA BANAN WA...
...JAGODA ŻURAWINA SEZAM LICZI WASABI JAPAN ZIELONA HERBATA MALCHA MUSZTARDA MANGO...
...CYTRYNA Z LIŚCIAMI BAZYLI I IMBIR CZEKOLADA Z CHILI GRECKIE TZATZIKI WANILIA PAPAJA MARAKUJA